



PROMIEŃ SZKOLNY

DWUTYGODNIK
WYDAWANY
PRZEZ UCZNIÓW
GIMNAZJUM
T. CZACKIEGO.

Nr 4.

1 lutego 1938 r.

Rok VII.



Pan Prezydent Rzeczypospolitej Profesor Ignacy Mościcki.

HOŁD MŁODZIEŻY.

W roku 1867, w małym miasteczku Mierzanowie, zabiło poraz pierwszy serce Ignacego Mościckiego. Urodził się człowiek, który Swym rozumem miał pokierować losami odbudowanej ojczyzny.

Obejmując urząd Prezydenta postawił sobie za cel ugruntowanie mocarstwowości kraju, wywalczonego męczeńską krwią Legionów i geniuszem Józefa Piłsudskiego!

Dziś po przeszło jedenastoletnim piastowaniu najwyższego urzędu możemy śmiało powiedzieć, że zadanie swe spełnił bez zarzutu.

To też w tym radosnym dniu Imienin, my młodzież, składamy Ci Panie Prezydencie wraz z życzeniami, wyrazy szacunku i podziwu za Twą pracę nad powiększeniem znaczenia Polski na szerokim świecie.

Dotrzymuj słowa!

Jak różni są ludzie, tak różne ich charaktery. Było tak dawniej, jest obecnie i będzie w przyszłości. Wskazany byłoby jednak, aby młodzież, szczególnie dzisiejsza, pracowała więcej nad urobieniem swoich charakterów. Bardzo często słyszy się dzisiaj — «dobrze, tak — ja to zrobię», a jednak potem dzieje się inaczej, wręcz przeciwnie. I co o takim człowieku powiedzieć? — chyba to, że nie ma charakteru.

Człowiek mający usposobienie zmienne zamierzonego celu nigdy nie osiągnie. A nie osiągnie go dlatego, że zmieniają się jego upodobania; co chwila nowa gwiazdka zabłyśnie na firmamencie jego dążeń, ustępując z kolei miejsca innej. Dane go słowa również nie dotrzyma, bo jego słaba wola, jak gałązka na wietrze, ugina się i przechyla na wszystkie strony, ulegając coraz to nowym wpływom. Człowiek taki nie liczy się z tym, że traci zaufanie u innych, a co gorsze traci także szacunek. Nie spostrzega nawet, że staje się coraz więcej złośliwym i niezadowolonym z życia. Aby więc tego uniknąć, aby zaznać prawdziwej radości życia, by zyskać mir u ludzi i szacunek, trzeba w pierwszym rzędzie wywiązywać się z obowiązków, jakie na każdego z nas są nakładane. Pozorna przyjaźń i pozorne grzeczności nie wystarczają. Więcej szczerości i więcej słowności, a będzie lepiej w naszym młodym społeczeństwie szkolnym.

A. Mitraszewski.



A. Grottger. Polonia. Obrona dworu.

Z minionych ferii.

Miękie drobne wirujące płatki napełniają świat. W górach mgła. Rozpływają się ich kontury i zarysy. Jest pora popołudniowa, w której ruch staje się mniejszy i Zakopane popada w pewien rodzaj odrętwienia.

W oddaleniu giną odgłosy sanek i znikają pierwsze zapalające się światła. Idziemy Strążyską.

Są to ostatnie chwile przed zmierzchem. Białe, poszarpane, skaliste zbocza wąwozu są jeszcze dobrze widoczne aż do szczytów. Lecz bije od nich chłód, zimno, prawie groza. Ścieżka wiję się po dnie wąwozu, raz po raz przecina strumień, raz po raz wpada między drzewa.

Przed nami trzy wysokie kominy, za zakrętem pokazuje się masyw Giewontu. Za chwilę jesteśmy koło wodospadu na Hali Strążyskiej. Przed małą gospodą wita nas radosnym machaniem ogona biały «baca», śliczny owczarek. Futro jego jest puszyste i tak białe, że gdy leży na śniegu widać tylko czarny czubek nosa i rdzawą plamkę na grzbiecie. «Baca» lubi się bawić, bo gdy znikamy w domu, na ganku słychać jakiś chrobot i trzask i przez okno widzimy, jak ciągnie za sobą nasze kijki od nart, a potem bawi się nimi w śniegu.

Stara gaździna ugaszcza nas świątecznymi specjałami.

Dowiadujemy się przy sposobności o pochodzeniu białego olbrzyma, przyniesionego z liptowskich gór. Za oknem zapada mrok. W izbie migocze niepewny płomyk lampki. Na palenisku płonie strzelając czerwonymi, chyboczącymi się językami, trzaskając suchymi szczapami, ogień. Cichnie pogwar. Za chwilę jesteśmy na nartach. Za nami przez uchylone drzwi wybiega kot i wyginając grzbiet staje na rogu chaty. «Baca» po innej stronie.

Już jedziemy w dół. Ciemno. Zjazd kryjący szereg niespodzianek nabiera uroku. Wyślizgana, oblodzona ścieżka, nie się dobrze. Czasem trzeba gwałtownie wyminąć leżący kamień, silnym przechyleniem odzyskać zachwianą równowagę. Sylwetki jadących z przodu są jak gdyby nierealne, tak szybko i łatwo roztapiają się w mroku. Zatraca się wycucie odległości. Nie odczuwa się prawie pędu.

Po kilkunastu minutach opuszcza nas cisza i czar samotności. Jesteśmy na Krupówkach w samym środku ruchu i zgiełku Zakopanego.

* * *

Za chwilę odmarsz na Halę Gąsienicową. Opuszczamy kawiarnię w Kuźnicach. W drogę — gęsiego z nartami na ramieniu po wąskiej, stromej ścieżce leśnej, wijącej się w częstych pętłach i zygzakach. Krok miarowy, równy bez przyspieszeń i niepotrzebnych przerw. Każda nierówność, załamanie, każdy wystający korzeń są pomocne, gdy droga staje się bardziej stroma, gdy obsuwa się, traci stałe oparcie noga, gdy chwiejna jest równowaga i narty napastliwie ciągną do tyłu. Strząsane czubkami nart opadają z gałęzi lekkie okiście — rozpylony, delikatny puch. Mijają długie minuty podchodzenia. Przypinamy deski. Boczań, Skupniów Uptaz. Poniżej nas w dole na cienkiej nitce wisi wagonik kolejki linowej, dążący ku Myślenickim Turniom. Pod nim stoi las biały. Pod nim urwiska, skały, doły, wykroty, kamienie, strumyki i szare przycupnięte góralskie chaty. Idziemy po zboczu Kopy Królowej. Wierchołek rzuca na nas cień. Kopa Magury stoi w olśniewającym słońcu. Ciemne sylwetki narciarzy ciągną się długim sznurem. Niebo czyste błękitne, śnieg iskrzy się tysiącem diamentów. Z lewej strony urwisko, za którym otwiera się widok ogromny — Zakopane tuż pod nami, dalej ciemnymi skupieniami, ciemnymi rzutami znaczą się, zarysowują osiedla — odgadywane miejscowości — Poronin, Murzasichle, Bukowina.

Słońce błyszczy na stoku i kłuje w oczy. W dole czernieje las i kamienista kotlinka.

Zjazd na Halę. Na stromym tarasie śliska drożka. Co pewien czas łagodnym skretem hamuje się szybkość. W pedzie wymija się duże kamienie u wjazdu na Halę. Przed nami «murowaniec», schronisko P. T. T.

* * *

Powracamy do Warszawy.

Pomimo ścisku i zgiełku w wagonie przed oczyma przesuwają się obrazy niedawno widziane, przestrzenie olbrzymie. Znow się odczuwa niewytłumaczone dławienie w piersi i jakieś jaskrawe, najpełniejsze zeznanie swej nicości wobec ogromu nieruchomych kapryśnie skłębionych, górskich łańcuchów, fal, zwalów.

Chłodne, piękne i obojętne na wszystko, co ludzkie, są te olbrzymie przestrzenie.

Powracamy do Warszawy.

W. Stankiewicz.

Paul Keller.

M a t k a.

Opracował z «Unser viertes deutsches Buch» Zbigniew Mioduszeński
klasa IV a.

Znałem ją od dawna. Ilekroć myślałem o Niej, nie mogłem nigdy znaleźć dla niej odpowiedniejszego określenia jak: Matka. Po długim oczekiwaniu na szczęście macierzyńskie, urodził się jej syn, któremu dano imię Józef. Tęsknota i pragnienia Jej spełniły się. Od tego czasu widziałem Ją zawsze pochyloną nad kołyską dziecka i zawsze szukającą duszy w jego oczach. Radowała się i mówiła: On mnie poznał, uśmiechnął się do mnie. Matka była taka szczęśliwa. Lecz po paru dniach oznajmił jej okulista, że mały Józef jest niewidomy. Jak to wytrzymała, nie wiadomo. Ślęczała dniami i nocami nad synem i dużo myślała.

Po paru tygodniach zaczęła brać lekcje u dyrektora zakładu dla ociemniałych. Kupiła całą bibliotekę o wychowaniu niewidomych i studiowała książki nad łóżkiem syna. Jego dusza winna mieć tyle światła, ile religia, nauka i sztuka dać mogą. Aby tego ducha w nim zapalić, ku temu skierowała od początku wszystkie swe usiłowania.

* * *

Po roku nauczył się mały Józio mówić. Matka nie odstępowała go na krok. Przy domku był wspaniały ogród. Tam spędzała z nim dni wiosenne. Gdy z nim rozmawiała zamykała oczy, aby nie widzieć tysiąca cudów, których jej dziecko widzieć nie mogło. Każdego lata wyjeżdżała z nim na wieś. Prowadziła go tam do wszystkich zwierząt i pomagała dotykać mu je palcami, aby mógł sobie odtworzyć w wyobraźni ich wygląd. Łapała ptaki, aby mógł je dotknąć, a potem puszczała je na wolność.

Ćwiczyła jego wyobraźnię. Gdy chłopiec o co pytał, odpowiadała mu z taką siłą fantazji, jaka cechuje tylko wielkich poetów i pisarzy. Gdy mu opowiadała z zamkniętymi oczami, oddychał chłopiec ciężko i głęboko, twarz mu drgała a z zamkniętych oczu płynęły łzy. Dręczony bólem pytał często:

«Matko, czy będę kiedyś widział»? Odpowiadała mu wtedy: «Będziesz synu». W niebie Bóg wszystko tobie pokaże. Twoje oczy będą tam większe, jaśniejsze i piękniejsze.

Nie mówiła mu nigdy, że jest nieszczęśliwy. Starannie wstrzymywała się od okazywania litości. Nie wspominała Józiovi nigdy o szczęściu jakiego doznają ludzie o zdrowych oczach. Chłopiec zdawał się być urodzonym artystą. Najbardziej lubił malować ołówkiem i lepić z gliny przedmioty, które znał z opowiadań matki. I zawsze ta sama prośba, co to są kolory. Zawsze przy tym pytaniu była matka zakłopotana i smutna. Usiłowała go odwieść od tej myśli, kierując jego zamiłowania ku muzyce. Miała piękny głos i grała po mistrzowsku na fortepianie. Uczyła Józefa gry na skrzypcach. Najbardziej lubili grać, gdy światło dnia gasło w ciemnej komnacie. Wtedy rozptywali się w krainie piękna i każde z nich przeżywało piękne chwile.

Niekiedy myślała o śmierci i wtedy drżała: «My mamy razem tylko dwoje oczu i nie mogę mu ich zabrać» — mawiała.

W międzyczasie ukończył Józef dwanaście lat. Czynił świetne postępy w nauce. W studiach jego brata udział matka. Odrabiała z nim wszystkie lekcje. Stałe obcowanie z nią uczyniło go delikatnym i uczuciowym. Chciał zostać lekarzem, by nieść pomoc chorym. Matkę lubił marzycielsko i pewnego razu powiedział mnie, że gdyby mógł widzieć jedną sekundę, chciałby ją ujrzeć.

Pewnego razu wyjechałem. Wróciwszy do domu, znalazłem kopertę z czarnymi brzegami na biurku. Po krótkiej chorobie chłopiec umarł. Nie było jeszcze pogrzebu i mogłem go ujrzeć. Przyznaję, że bałem się tam iść. Bałem się rozpaczy matki. Lecz było inaczej, siedziała nad nim cicho, bez słowa, bez łez. Na białej poduszce leżała piękna głowa chłopca. Ręce trzymały krzyż. Nad głową paliło się światło. Oczy zmarłego były otwarte. Na rysach twarzy widoczny był uśmiech. Powoli podeszła ku mnie i chwyciła mnie za rękę. Wskazała na piękne, uśmiechnięte oblicze syna, na jego otwarte oczy i rzekła spokojnie i prawie z radością «On widzi!».

Oj! Wesola nasza szkoła!

Codzień po ósmej z rana gdy wszystkie jęczą dzwonki,
Pan Franio staje w szatni przy boku swej małżonki.
(A trzeba wszystkim wiedzieć, że postać pana Frania
Odgrywa dużą rolę, więc godna jest poznania).
Pan Franio wszystkim uczniom, co idą zbyt leniwo
Woła co parę sekund: «A ziwo tam! A ziwo!»
A woła tak tragicznie, a głos ma tak ponury,
Że aż objęte grozą drżą stare, szkolne mury.
Lecz gdy już przebrzmia dzwonki, na górze drzwi zawiera,
Porzuca dawną postać i zmienia się w Cerbera...
I wymachuje ciężkim i dużym swoim kluczem
Tragiczną mrucząc groźbę: «Już ja was tam nauczę...»
Lecz groźby to jest głupstwo... najgorsze naostatek:
Że zbiera od spóźnionych dzienniczki, jak podatek.
Potym spóźnionych zgraja wlecze się na swe lekcje
I czeka, aż «autograf» wzbogaci im «kolekcje»
A są u nas zbieracze i są kolekcjonerzy
Co tyle mają uwag, że oczom człek nie wierzy...
I jakaż tu ironia, jak dziwnie rzecz się zdarza
Ten co ma tyle uwag, najczęściej nie uważa.
Tymczasem życie w klasach wciąż zmiennym płynie nurtem
Raz czwórki, to znów dwójki dostają wszyscy hurtem,
(Niestety lecz tych drugich o wiele bywa więcej:
W stosunku bardzo smutnym, jak jeden do tysięcy)
Raz lekcje są słoneczne, pogodne, raz ponure,
W powietrzu czuć nieszczęście, jak wielką czarną chmurę;
Wówczas jest zwykle cicho, gdyż każdy drży okropnie
A w uczniów jak pioruny trzaskają stopnie... stopnie...
Codzień na «zupkach» widać dantejskie, straszne sceny:
Rzucamy się na butki zgłodniali, niby hieny
Łykamy w mig kakao, walczymy o dolewki,
Że aż nas czasem musi ofuknąć patron krewki...
Kakao raz na tydzień to jednak jest zamało...
Więc jeszcze i co kwartał płacimy na KaKaO.

Płacimy? to nieprawda! «Zbieramy» — lepsze — słowo
Lecz zbierający mają z tym «pracę syzyfową»
Zresztą to ich już sprawa. Ważniejsze są zmartwienia
Co mącą «radość życia» młodego pokolenia.
Ot choćby drobny przykład: ściągaczka rzecz konieczna,
Ściągaczka rzecz niezbędna, a tak jest niebezpieczna.
Wszak każdy ją zaliczy do najpierwszego rzędu,
Wszak uczeń bez ściągaczki — «jak szlachcic bez urzędu».
A jednak ją zostawcie niechący w swym zeszyte
To dwója, jak mur pewna. (Jeżeli nie wierzycie
To sami popróbujcie). Stąd morał zaś wypływa:
«Kto zbyt jest roztargniony, niech «ściągów nie używa».
Lecz dość. Już kończę o tym. To zresztą niewesołe
Bez końca wciąż narzekać i wciąż oczerniać szkołę,
W dodatku, że tematów mam jeszcze bardzo wiele.
Więc najpierw spostrzeżeniem najnowszym się podzielę.
Znalazłem, że w tygodniu są pewne dni pechowe,
W których chorują wszyscy, poprostu — głowa w głowę.
I tak się dziwnie zdarza (Niech każdy sam to zbada)
Że gdy jest gimnastyka — to bólu dzień przypada.
Tak dziwnie rzecz pomieszał los ślepy, ale psotny,
Że lekcja gimnastyki wywiera wpływ... odwrotny.
To smutne... bardzo smutne. Lecz ja po trudach wielu
Zaczynam brnąć do końca, jak pątnik brnie do celu,
Więc idę poprzez wiersze, chcę uciec z rymów matni
I z deszczu jak pod rynnę, uciekłem wprost do szatni.
Tłok, hałas, krzyk i zamęt tragedii wiele kryje:
Ktoś zgubił swoją czapkę, ktoś schował buty czyjeś,
Butów nie można znaleźć, a czapka gdzieś przepadła,
Więc trzeba przejrzeć ławki i okna i wieszadła.
I tak nam dni mijają, i tak nam życie «leci»
Codzień od ósmej zrana do drugiej, lub do trzeciej.

B. Marczuk kl. IV-a.

Król Kazimierz.

(Ciąg dalszy).

Zadudniła znów ziemia pod kopytami koni. Orszak rycerzy pędził z wichrem od strony boru. Pancerze lśniły jak złote, załamując promienie słońca. Pędzili giermkowie w bogatych strojach z odkrytymi głowami. Wiatr rozwiewał im długie włosy.

Dudniła ziemia, dzwoniło żelazo, parskaty konie.

Zdziwieni wyszli wieśniacy przed chaty.

A orszak pędził ku Warszawskiej chacie. Na czele poznano młodego dworzanina, który z Kazimierzem do wioski zbłąkany zaszedł. Prowadził teraz rycerzy.

Stanęli wreszcie przed chatą. Przywiedli pięknego białego rumaka.

— We wrotach stał on! Przy nim Wars, Sawa i dwoje dzieci. Dzieci palce w buzie pakowały i oczy wytrzeszczały. Zdziwione przyglądały się przybyszom.

— Królu nasz i oto jesteśmy. Pojedziemy już do zamku? — pytał rycerz.

Cofnął się Wars i cofnęła się Sawa oślupiali:

— Więc ty król, ty książę, panie?

— Bywajcie zdrowi! — zawołał król wesoło w odpowiedzi.

Potrzymano mu konia. On go dosiadł.

— Ty już jedziesz, krzesny? — pytała nieśmiało dziewczynka.

Siedząc na koniu pogłaskał jeszcze dzieci po główkach i przytulił do siebie.

— Wrócę tu niedługo, wrócę. Ostańcie z Bogiem!

Rumak wspiął się na tylne kopyta i skoczył naprzód. Ruszył z chrzęstem orszak za królem.

Spoglądał Kazimierz na chaty wieśniacze i na prosty lud żegnający gości. Radowali się starcy, kobiety i młodzieńcy pełni sił.

Aż nagle spoważniał wpatrzony w polanę:

Stał tam lirnik stary z białą brodą i siwym włosiem. Niebieskie oczy błyszczały jakoś dziwnie i strasznie. Długa biała broda dodawała jego postaci powagi i majestatu. Ten nie radował się, jak inni. Stał ponury, milczący i straszny.

Szumiały wokół drzewa świętego prastarego gaju. Pochylały się drzewa, które setki lat pamiętały.

Wśród nich stał stary lirnik pogański ze swą lirą w rękach i patrzył...

(C. d. n.).

Puszcza Kampinoska.

Do osiemnastego wieku całe Mazowsze pokryte było niezgłębionymi borami. Tutaj królowie wybierali się na polowania, a gdy noc ich zastała, zatrzymywali się w książęcym zamczku w Ujazdowie lub w dworze pod Raszynem.

Dopiero podczas zaborów lasy wycięto. Bo wszak tutaj kryły się oddziały powstańcze z 63 roku. Niebezpieczne były lasy koło stolicy kraju zabranego.

Ślady puszczy, czasem nie pozbawione uroku, leżą dziś od Młocin za Wyszogród, aż do Płocka.

Dość znaczny odcinek puszczy w pobliżu Warszawy wienien stać się drogi każdemu Polakowi, zwłaszcza Mazurowi i Warszawiakowi. Tutaj na suchych wydmach uczeni odkopują cmentarzyska przedhistoryczne od epoki kamiennej aż do czasów chrześcijańskich (cmentarz przedhistor. w Siannie) i tu odkrywamy prastare grodziska, w których bronili się nasi dziadowie (Zamczysko koło Leszna). Sędziwe drzewa szumiące nad zapomnianymi mogiłami weteranów na polach bitew pamiętają jeszcze rok 63, patrzyły na rozpaczliwe walki i śmierć bohaterów.

W lecie tam jadą zmęczeni pracą Warszawiacy, tam odpoczywają na łonie przyrody.

W zimie przynętą są tereny narciarskie. Jako na płaskie tereny podwarszawskie nie są one złe.

Opis terenów narciarskich między Młocinami i Placówką obszernie opisał kol. Sikorski i za ten opis otrzymał pierwszą nagrodę na przedwakacyjnym konkursie krajoznawczym. Praca ta jest do wypożyczenia w bibliotece Koła Krajoznawczego.

NOWINY Z KOŁA.

Wycieczki warszawskie przedstawiałyby się dobrze, gdyby miały więcej amatorów. Słabo wypadły dwie ostatnie wycieczki: śladami świeżo odkopanych murów Warszawy i wycieczka na wystawę fotograficzną do gmachu Związku Propagandy Turystycznej na pl. Teatralnym. Ogłoszenia o wycieczkach są wywieszane w ściennej gazetce Koła.

Miser.

Bajka o Szklanej Górze.

(Bajka i nic więcej).

Gdzieś daleko, za morzami, za lasami stoi stroma szklana góra. Na jej szczycie siedzi mędrzec. Pięknie to wygląda. Unosi ręce i woła:

— «Patrzcie! Tam dalej jest góra większa i wspanialsza z brył złota i drogich kamieni. Spójrzcie, jaka ona wspaniała! Kto się na nią dostanie, nasycy się szczęściem. Z jej szczytu cały świat ogarnie. A wspinać się po niej może bez końca, aż do nieba. To Góra Wiedzy.

Ale stójcie! Żeby na tę górę zacząć się wspinać, trzeba wpierw wejść na szklaną górę. Starajcie się!»

Na śliskim, szklanym, najeżonym gdzieniegdzie ostrymi kolcami zboczu wisi mizerny uczeń.

— «Panie! Którędy mam się wspinać, żeby dojść na szczyt tej skały?» — pyta.

— «Oto jest oślizgła ścieżka. Wspinaj się po niej» — mówi mędrzec.

Uczeń próbuje iść ścieżką. Ale droga jest ciężka. Obsuwa się czasem, kaleczy, ale pnie się wciąż wyżej.

Tylko co krok da większy, co zboczy trochę, mędrzec unosi wielką pałkę, pochyla się, wyciąga długą rękę i bije w głowę bohatera. Biedakowi ciemność zasłania oczy. Kurczowo chwytą się kolca ostrego na zboczu, przystaje na chwilę, ale znów dalej próbuje. Wie, że znów pałką w łeb dostanie.

Ale po wielu trudach uczeń ujrzał szczyt. Jeszcze jeden krok śmiały i dopnie choć w części celu.

I znów uderzenie przerwało wysiłki. W głowie mu się zakręciło i runął w przepaść bezdenną...

ŚLIZGAWKA.

«Największą przyjemnością w zimie jest ślizgawka» — pisze się z reguły w wypracowaniach polskich pisząc przy tym przyjemność przez «ż». Być może, że wyjątki potwierdzają regułę, ale wyjątki niestety zdarzają się często.

Pewnego pięknego wieczoru wybrałem się do parku Sobieskiego. Niestety, mimo że wykazuję cudowną intuicję, gdy chodzi o klasówki łacińskie, jednak nie przewidziałem, że park jest zamknięty. Wobec tego gnany wściekłością wracam pod górę ku Alejom. Przy przystanku widzę wychodzi Tadek z 9-ki i kieruje się ku parkowi. Chciałem najpierw, żeby przeszedł się tak jak ja, lecz pomny na jego bohaterskie podpowiedzi, zatrzymałem go i poszliśmy do parku Ujazdow-

skiego. Tu nam nie chcieli w żaden sposób uwierzyć, że nie mamy jeszcze 10 lat, więc musieliśmy zapłacić sumę słownie pięćdziesiąt groszy. W szatni jakiś tubylec żądał 20 gr. Myślałem, że to jego swoisty humor. Roześmiałem się więc szczerze zupełnie jak z dowcipów panów profesorów. Ten jednak okazało się niema zupełnie poczucia humoru więc mu zapłaciłem wraz z westchnieniem o wielkim ciężarze gatunkowym. Wychodząc zupełnie dosłownie «poczułem grunt pod nogami», ale się nie wywaliłem. Zdążyłem objechać raz ślizgawkę, gdy moja noga poczuła się wolna, jak ja po lekcji, na której miałem być pytany. Okazało się, że moja podeszwa czując niechęć do reszty buta, pękła wzdłuż do połowy. Pełen głębokiego tragizmu w duszy zwróciłem się do miejscowej budki, gdzie obiecali mi zreperować but za 50 gr. To przechodziło nie tylko granice mej rozpaczki ale i moich funduszy. Ponieważ Tadek miał forsz (zupełnie jakby zbierał na bibliotekę) więc mnie poratował. Reperacja odbywała się w ten sposób, że wbili w obcas dwa gwoździe tak duże, że wyraziłem obawę, czy mnie nie będzie kłuło. Szewc filozoficznie odpowiedział mi: «Albo będzie kłuło, albo nie». Natknęło mnie to wiarą w jego genialne zdolności i namyśliłem się czy warto to przetłumaczyć i umieścić w zeszycie składniowym, w dziale «cytaty». Ponieważ nie wiedziałem jak jest kłuć, więc zaniechałem tego.

Przez ten czas Tadek spotkał swego kolegę i wspólnie jeździli śladem piękna. Przedstawicielkami piękna były dwie osobniczki. Budowa à la Jaster, twarzą, twierdził Tadek, że podobna do Marleny Dietrich, ja jednak w duchu twierdziłem, że ma w sobie coś z Betty Boob. Tadek i kolega ciągle się kręcili koło nich, ja niestety mając znów zepsutą podeszwę, raz tylko podjechałem, usłyszałem krótką pogawędkę treści kulinarną — społecznej (coś o mamie i papce). Ponieważ przyszytym sprawnie z wdziękiem i z dźwiękiem usiadłem, więc zostawiłem «słabą płeć» na pastwę kolegów kolegi, mojego kolegi Tadka i zreperowałem do domu.

lkswaryf.

DZIAŁ LITERACKI.

Michał Bałucki.

W tych dniach przypada stulecie urodzin Bałuckiego. Twórca wspaniałych «Grubych Ryb» i «Domu Otwartego».

Michał Bałucki urodził się w Krakowie — w mieście, które w tym czasie gromadziło najwybitniejszych przedstawicieli życia kulturalnego Polski. Współczesnymi jego byli Matejko, Grottger, Szujski, Anczyc i inni. Łączyły go z nimi wspólne ideały romantyzmu i niepodległości. Osadzony przez władze austriackie

za działalność patriotyczną — przeżył okres powstania w więzieniu. Sądząc po jego początkowej twórczości, zdawać się mogło, że Bałucki ulegnie intelektualizmowi Krakowa i zostanie wierny romantyzmowi.

Jednak stało się inaczej. Bałucki po upadku powstania skłaniać się zaczyna ku pozytywizmowi. Tematem jego utworów nie są sfery «highlifu» lecz szary mieszczanin krakowski, którego śmieszący i bawiący typ zyskał wiele uznania i powodzenia. Porównywano go nawet ze znanym karykaturzystą Kostrzewskim.

Dzięki Bałuckiemu narodził się teatr mieszczański w Polsce. Przez dwadzieścia lat jego utwory stanowiły trzon repertuaru teatralnego. Każda nowa sztuka oczekiwana była przez publiczność z niecierpliwością i zawsze stawiała się ważnym wydarzeniem. Bawiło w niej nowe środowisko, nowy typ bohatera, nowy temat. Lecz w końcu ciągły realizm zaczął nużyć; ciągnęła szarzyzna życia bohaterów — powszednieć.

Nadszedł okres «Młodej Polski». Jego ideały były zaprzeczeniem tematyki Bałuckiego. Sława jego poczęła niknąć, aby ustąpić wielkości Wyspiańskiemu. Teatr zdawał się być za mały dla nich. Jeden z nich musiał ulec. Ustąpił Bałucki.

S. Kaper.

Jerzy Gonerko.

Kornel Makuszyński na tle swego przemówienia.

Któż z nas nie czytał którejs z książek Kornela Makuszyńskiego, gdzie w każdym zdaniu prawie napotykamy szczerość, radość, rzewność a przede wszystkim uśmiech. Umie nas ten mistrz słowa rozśmieszyć lub wzruszyć do łez. Umie wykrzesać z najtwardszego serca isierkę dobroci, umie lancetem słowa roztworzyć i ukazać, to co jest najlepsze w człowieku, bowiem tak, jak mówi, nie ma ludzi złych, są tylko bardzo nieszczęśliwi.

Niedawno wybrany został do Polskiej Akademii Literatury (dnia 8-XII-1937 r.) i na dorocznym posiedzeniu PALU, wygłasza przemówienie będące jakgdyby jego Credo, które nieustannie realizuje. I tu, jak wszędzie, dominuje pogodny uśmiech. Na wstępie mówi swym spokojnym, choć trochę steranym, głosem o doli

mówcy wygłaszającego uroczystą orację, a słuchanego przez siedmiu braci śpiących, który powinien schodzić z katedry na palcach, aby nie zbudzić szanownego audytorium.

W dalszym ciągu żywo, choć skromnie, maluje swą twórczość, którą rozpoczyna poezją, ale postępując według II przykazania «Człowieku bądź zawsze sobą» zaczyna pisać swe powieści dzieląc się w nich z bliźnimi radością. Makuszyński sam przyznaje, że najlepiej określił go Boy w swym lapidarnym, a jak wiele mówiącym zdaniu «O ty, coś wszystkie przewędrował nędze»... Makuszyński chce doczekać chwili, w której będzie powszechne trzęsienie sumień, a za świetność stylu uważa prawdziwość. «Nie dopuść Panie Boże, aby dwa razy dwa było cztery» prosi — stwierdzając zarazem, że świat nie prawdziwy jest jedynie prawdziwy, czemu daje wyraz np. w powieści p. t. «Przyjaciel wesołego diabła», słyszymy dalej o Przybyszewskim, przed którym słowa padały na twarz, przemieniającym kamyk wiślany w ametyst, a gęś zwykłą — w królewskiego pawia. Kończąc część przemówienia poświęca autor «Wyprawy pod Psem» Kasprowicza, człowiekowi, który był na «Golgocie» i użala się nad małym zrozumieniem jego utworów; złoty ten człowiek pierwszy wskazał drogę Kornelowi Makuszyńskiemu. Kończąc przemówienie ślubuje w imię Mowy Polskiej, że będzie dalej kontynuować swą pracę.

* * *

W ub. miesiącu w Warszawie zorganizowana została wystawa p.n. «Życie literackie».

Na prośbę P. St. Kaczorowskiego najwybitniejsi poeci i publicyści wyrazili swe uwagi o książce. W dziale literackim drukować będziemy ich myśli, p.t. «Pisarze o książce».

Na wstępie podamy dowcipną uwagę K. Makuszyńskiego:

Sto razy już mówiłem,
gadałem bez końca
I wciąż będę Lechitom
smutnym przypominał,
Że dom, w którym jest książka
jest przybytkiem słońca,
A dom, w którym jej nie ma
to czysty kryminał.

Promyk na Lekcji.

Smętny głos profesora
Mówi do uczni smętnych,
Za oknem smętna pogoda,
Nie widać twarzy chętnych.

Teraz uczeń wydaje
Swą lekcję monotennie...
W klasie nagle się staje
Jakoś przyjemniej, wonniej.

Oto przez okno szare
Wleciał tu promyk złoty,
Padł na czarne litery
Śmiejąc się z ich roboty.

Teraz na wszystkie twarze
Dziwna świeżość wionęła.
Wszędzie widzę uśmiechy
Dawna senność minęła.

I znikła dawna nuda.
A on — promyczek złoty
Dał nam chwile radości,
Wzniął nasze tęsknoty?..

J. Gonerko.

DZIAŁ TEATRALNY.

Napisał Jan Brumer kl. III.

Teatr Szkolny.

Część I. Organizacja.

Do obowiązków reżysera należy przede wszystkim zaznajomienie kolegów—aktorów z duchem sztuki.

W tym celu powinien on zorganizować jeszcze przed pierwszą próbą zebranie, na którym wytłumaczyłby kolegom głębszą treść sztuki, omówiłby gestykulację oraz sposób mówienia.

Dzięki takiemu zebraniu uniknąłby reżyser tłumaczenia ról na próbach, co zajmuje mu wiele czasu i jest ze względu na przemęczenie szkodliwe w skutkach.

Omówienie to ma podwójne znaczenie: pierwsze, o którym wspomniałem wyżej i drugie, bardziej jeszcze zasadnicze, specjalnie w teatrze szkolnym. Mianowicie dzięki dokładnemu omówieniu utworu, uczniowie rozszerzają i pogłębiają swe wiadomości z zakresu literatury.

Oprócz reżysera — ucznia, nad całością czuwać powinien kierownik — nauczyciel.

Do niego to należy baczenie, by wskutek zbytniego czerpania wzorów z teatrów zawodowych, widowisko nie zeszło na manowce.

Tyle o organizacji; następnym razem omówię sprawę doboru repertuaru w teatrze szkolnym.

(C. d. n.)

„Gałązka Rozmarynu”

(Zygmunta Nowakowskiego).

TEATR POLSKI.

Reżyseria:	Aleksandra Węgierki.
Dekoracje:	Stanisława Śliwińskiego.

O b s a d a :

Obywatelka Sława	p. Malkiewicz
Ciotka ze Stanisławowa	p. Buczyńska
Obywatel Juhas	p. Pichelski
„ Wilk	p. Ziejewski
„ Iskra	p. Woszczerowicz
„ Brzytwa	p. Konrad
Kapucyn	p. Woskowski

Brak było dotychczas w naszej literaturze dramatycznej sztuki obrazującej przeżycia Legionów Piłsudskiego. Wystawiano wprawdzie utwory osnute na tle wojny polsko-bolszewickiej, jak np. «Wierna kochanka» Fiałkowskiego, «Pocątnek wojny» Chełbickiego, czy «Bolszewicy» Sieroszewskiego, ale miały one charakter raczej okolicznościowy. A chodziło przecież o widowisko przedstawiające nie wskrzeszone wojsko polskie, lecz jego zaczątki.

Lukę tę wypełnił Nowakowski swą «Gałązką Rozmarynu». «Gałązka Rozmarynu» to doskonała, pełna szczerzego sentymentu opowieść o dziejach jednego plutonu bohaterskich legionów Piłsudskiego. Autor szczęśliwie unikając łatwizn, przechodzi umiejętnie od humoru tak sytuacyjnego, jak słownego, do pełnego powagi napięcia, od radości do smutku, od czaru sentymentu, do brutalnej rzeczywistości wojny, do jak najdalej idącego, skrajnego realizmu.

W pierwszej odśłonie doskonale oddaje nam autor nastroje panujące w czasie tworzenia się pierwszych zastępów strzeleckich, w drugiej odtwarza nastawienie społeczeństwa z Kongresówki do Legionów, w następnych obserwujemy jak zanikają wśród legionistów wszelkie różnice stanowe, a jak kwitnie przyjaźń i koleżeństwo. Jediną różnicą «klasową» jest teraz kwestia daty wstąpienia do Legionów. Doskonale są także przedstawione postacie legionistów, jak np. typ księdza kapełana, czy legionisty — «łazika». W ogóle, według własnych słów autora¹⁾, stara się on kłaść jak największy nacisk na charaktery postaci.

Nietylko jednak autor przyczynił się do powodzenia tego przemitego widowiska. W wielkiej mierze laur przypada znakomitemu reżyserowi Aleksandrowi Węgierce. Doskonale «wyczuł» on tak całą sztukę, jak każdą scenę, jak każdą kwestię aktora. Dzięki temu właśnie wyczuciu mógł on uwypuklić te momenty, które mogły by się stać blade i mało znaczące. Znalazł także p. Węgierko sposób na kończenie aktów. Niema już szablonowego kłaniania się. Każda odśłona kończy się żywym obrazem. Ale obraz ten jest naprawdę żywy. Niema tego «ni stąd, ni z owąd» obrazu jak np. w «Kościuszcze pod Racławicami». Tu żywy obraz wypływa z akcji!

Także piękne dekoracje p. Śliwińskiego podkreślały wrażenie (zwłaszcza w odśłonie III i IV), zaś bardzo dobra gra całego, olbrzymiego zespołu, złożonego z 58 aktorów, z wyróżnieniem artystów podanych w obsadzie, podnosiła nastrój utworu.

Jan Brumer kl. III.

¹⁾ Miesięcznik «Teatr» artykuł p. t. «Od autora Gałązki Rozmarynu».

«La grande illusion».

«Towarzysze broni» to niezwykle film. I chociaż film ten należy do cyklu wojennych, jest on całkowicie pozbawiony cech militarystyki. Składa się ze splotu zdarzeń niespotykanych masowo, ze splotu czynów pięknych i wzniosłych. Dziwnie prosty i głęboko ludzki jest ten film pozbawiony efektów.

Przedziela wszystkich, wszystkie narody, pewna granica, pewna tama, która istnieje i która w chwilach krytycznych, w chwilach wojny, w chwilach materialnej i trzeba przyznać, istotnej walki o byt, jest nad wyraz jaskrawa.

Roznieca ona instynkty pierwotne, zaciekłość, zaborczość, nienawiść, chęć zemsty, żądzę krwi. W chaosie, w podnieceniu, w sztucznym entuzjazmie zapomina się, że się jest jednak i wtedy o krok od szlachetności i miłosierdzia. Lecz tego kroku nie przestępuje się w rzeczywistości masowo, tak jak to czynią bohaterowie filmu «Towarzysze broni». Tam wszyscy spełniają swój żołnierski obowiązek, lecz jednocześnie wszyscy pozostają ludźmi, którzy widzą ludzi w stronie przeciwnej, którą splót okoliczności przemienił we «wroga».

Nierealnym jest ten film, a jednak solidaryzując się z tymi szlachetnymi czynami pojedynczo, jesteśmy na właściwej drodze do realizowania tych iluzji zbiorowo.

W. Stankiewicz.

ŻYCIE KLAS.

„Studniówka”

kl. VIII.

Trudno powiedzieć, żeby organizatorzy «Studniówki» mogli się powołać na wieloletnią tradycję. Mimo to wszyscy uczniowie kl. VIII czuli, że właśnie takie przyjęcie — zabawa w ścisłym gronie zostawi najmielsze wspomnienia z okresu wyczerpanej pracy przedmaturalnej. To właśnie sprawiło, że dnia 22 stycznia, w sobotę, odbyło się przyjęcie pożegnalne, którego gospodarzem była klasa VIII. Wszyscy P.P. Profesorowie, którym to nie sprawiło dużej różnicy, nie odmówili swej obecności.

Przy wspólnej zimnej kolacji, do której zasiadł P. Dyrektor, grono profesorskie, uczniowie kl. VIII i zaproszone przez nich znajome, spełnione zostały toasty za dalszy pomyślny rozwój naszego Gimnazjum i na cześć P. Dyrektora, P. Wychowawcy oraz P.P. Profesorów. W serdecznych słowach odpowiedzi na nie P. Dyr. Sopoćko oraz P. Wychowawca kl. VIII P. Prof. Ratyński, życząc wszystkim, obecnym na zabawie uczniom, jak najlepszych wyników na maturze. Po kolacji i krótkich, lecz na wysokim poziomie będących popisach artystycznych, przystąpiono do trzeciej części przyjęcia, mianowicie do tańca. W miłym, wesołym, koleżeńskim nastroju czas mijał niepostrzeżenie tak, że zabawa przeciągnęła się o wiele dłużej, niż to było początkowo przewidywane. Wspomnienia z tej «studniówki» żyć będą niewątpliwie b. długo w sercach i myślach uczestników.

W. S.

KOŁO HISTORYCZNE KL. VIII.

Tak, jak to zostało zapowiedziane, dn. 18 grudnia ub. r. odbyło się zebranie, na którym został wygłoszony referat kol. Daszkowskiego p. t.: «U zrębów gospodarki polskiej». Referat wywołał dyskusję. Na zebraniu obecnym był p. prof. Radziwonowicz, członkowie koła oraz goście z kl. I L. Przygotowany jest cykl referatów na tematy gospodarcze.

Wydawcy: Uczniowie Gimnazjum Im. T. Czackiego.

Redakcja: Mitraszewski kl. I liceum, Stankiewicz kl. I liceum, Szomański J. kl. IV A, Brumer kl. III.

Komitet redakcyjny: Jaskiewicz kl. I liceum, Sobkowicz kl. I liceum, Marczuk kl. IV A, Mioduszewski kl. IV A, Trzebiński kl. IV A, Gonerko kl. IV A, Izdebski kl. IV B, Uzdowski kl. IV A, Rybiński kl. IV B, Sobański kl. IV B, Makowski kl. III, Tyrawski kl. III, Balasiewicz kl. II, Trocewicz kl. II.

Administracja: Kaper kl. I liceum, Likiernik kl. III.

Rękopisów nadesłanych do Redakcji nie zwraca się.

Adres Redakcji i Administracji pisma: Warszawa, Kapucyńska 21.

Druk. Dz. Pr. W. Warszawa, Rakowiecka 37.

